



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÖCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Święta grobów obchodziliśmy w tym roku o jeden dzień później, niż zwykle, gdyż Zaduszki według kalendarza wypadły w Niedzielę; przez trzy dni tedy snuły się na cmentarz tłumy ludu, Iżą, westchnieniem, światłem i modlitwą darząc drogie cienie nieboszczyków.

Na smutnem, jesiennem niebie słońce świeciło, jak uśmiech przez łzy, ale pogodnie przyglądało się owym pochodom na cmentarze, które cały świat katolicki w tym pamiątkowym dniu wspólnie urządza.

Jakoś łżej żyć z tą myślą, że otchłań śmierci nie pochłonie wszystkiego z nas po zgonie i że w pamięci potomnych choć raz do roku zmartwychwstaje człowiek, co umiał życiem swoim zniewolić wdzięczne i kochające serca dla siebie.

Poetyczną cechą tego obchodu psuje tylko trywialna proza żebraczych swarów, krzyków, kłótni i licytowania modłów za grosz pod bramą cmentarną.

Ale cóż na to poradzić!... kwestya zupełnego usunięcia żebractwa z bruku Warszawy w naszych warunkach, przy braku odpowiednich funduszy i instytucji — jest prawie niemożliwą. Czasy spartańskich, radykalnych ustaw i zwyczajów w sprawie usuwania pasożytów społecznych minęły dawno: trzeba cierpieć i może to zło konieczne, przeciw któremu niewiele mamy środków oddziaływania.

Mówiono i pisano swojego czasu wiele o założeniu filantropijnego towarzystwa przeciwżebraczego, kreślono nawet projekty i statuta, ale końca z końcem związać się nie udało i rzecz cała poszła w odwłokę, jak wiele innych.

Proletaryat brukowy zawała drogę przechodniom i wyciąga obie ręce po jałmużnę.

Z nadejściem zimy zwiększają się szeregi nędzy w łachmanach, a rok bieżący zapowiada się gorzej od innych i na cięższą próbę wystawi naszą dobroczynność publiczną.

Wobec mnogości rozmaitych celów, wymagających poparcia i pomocy, musimy połowicznie tylko wypełniać przedsięwzięte zadania. W roku zeszłym np. powstał projekt założenia, a ewentualnie wybudowania, domu noclegowego dla biednych bez dachu; kosztą budowy obliczono na 30,000 rs., ale ofiarność publiczna, rozrywana na wszystkie strony, zdobyła się zaledwie na dziesiątą część oznaczonej summy. Skutkiem tego nastąpi urządzenie kilku tylko przytułków noclegowych w lokalach wynajętych. Na początek będzie ich cztery w najuboższych dzielnicach miasta.

Każdy przytułek pozostawać będzie pod zwierzchnictwem czterech opiekunów, którzy kolejno znajdować się mają w czasie przyjmowania i wyjścia nocujących. Uproszczone damy spełniać będą nadzór nad częścią gospodarczą. Od dnia 13 Listopada do d. 13 Kwietnia pomiędzy godziną 8 a 10-tą wieczorem ubodzy bez dachu mogą znaleźć nocleg w takim przypadku. Przybywający obowiązani będą wymieniać tylko swoje imię, stan i wiek; za nocleg pobieraną będzie opłata po 3 kop. od osoby; każdy otrzyma zato wieczorem i rano kubek herbaty i kromkę chleba razowego. Według możliwości, stosownie do sił fizycznych i uzdolnienia nocujących, zarząd wyszukiwać im będzie zajęcie i zarobek na dzień następny.

Zywiimy nadzieję, że chętnych, którzy czynem i datkiem poprą nową a tyłu pożyteczną instytucją, nie zabraknie, zwłaszcza pomiędzy naszą płącią piękną, łatwiej skłonną do uczuć litości i wypełniania filantropijnych obowiązków.

Dzienniki nasze ogłosiły rezultat rozprzedaży zbiorowego wydawnictwa „Na pomoc”, które nie-

zwykłą pomyślnością uwieńczone, przyniosło ogółem dochodu 5,735 rs. 99 kop., zaś po strąceniu kosztów papieru, wytrawiania klisz, przesyłki etc. etc., dało czystego zysku 4,018 rs. 79½ kop. Summę tę przelano do ogólnych funduszy zapomogowych na powodzian, które zamarzyły gdzieś w kassie komitetu i czekają nowej wiosny i nowej widocznie kłęski, aby rozstając i rozplynać się pomiędzy ludność nadwiślańską.

Druga edycya „Na pomoc” doda jeszcze z jakie 1000 rs. do poprzednich; można tedy komitetowi powinszować dobrego pomysłu i świetnego powodzenia.

W Krakowie na podobny cel dobroczynny ukazało się zbiorowe wydanie fraczko-polskie pod tyt. „Wisła” z licznymi ilustracyami. Pomimo opóźnienia spodziewać się należy, że drukowana „Wisła” naprawi również choć w małej części złe przez swą geograficzną imienniczkę wyrządzone.

Z nastaniem jesiennego sezonu filantropia i sztuka zaczynają swą połączoną działalność; świetny początek zrobił koncert w salach ratuszowych na rzecz studentów agronomicznego instytutu w Nowej Aleksandryi (Puławach), ale też łatwym było do przewidzenia, że publiczność przepelni salę i galerię, przysparzając *maximum* dochodu, gdy afisze zapowiadały współdziałanie Heleny Modrzejewskiej.

Stanąła na estradzie po długiej rozłące z Warszawą i prawdziwy entuzjazm wywołała u widzów i słuchaczy; lata zdają się nie tykać jej wdzięków — rozwijając nieustannie te obfite zasoby talentu, któremi hojnie obdzielić-by można wiele naszych scenicznych wielkości.

Znakomita artystka poprzestała tym razem na samej deklamacyi, w której okazała się, jak zawsze, nietylko mistrzynią przepysznej dykcji, ale świetną tłumaczką myśli i uczuć przelewanych w najchłodniejsze serca i głowy.

W Lutym mamy ją zobaczyć w szeregu gościnn-

nych występów na scenie, a przeróżne komitety koncertowe cieszą się błogą nadzieją, że tak, jak Towarzystwo Muzyczne—współdziałem Modrzejewskiej na estradzie zapewnią sobie dochód pożądanym. Podobno pozyskano przyrzeczenie artystki, że przyjedzie umyślnie z Krakowa, by wystąpić w koncercie na korzyść studentów uniwersytetu, zakładu Magdalenek i t. d.

To „i t. d.“ mogłoby się w nieskończoność przedłużać, gdyby wypadało nadużywać i wyzyskiwać dobre chęci i znakomity talent artystki, korzystając z krótkiej jej gościny wśród murów Warszawy, która radaby napatrzeć się na nią i nasłuchać jaknajwięcej, zanim ją znowu na dłuższy czas z oczu utraci.

Dla teatru naszego przyjazd Modrzejewskiej będzie nader pożądaną i korzystną sposobnością zapelnienia kassy i ożywienia repertoaru; tymczasem po występach p. Hoffmanowej z Krakowa gromadzimy się w „Rozmaitości“, by patrzeć na grę starego Rychtera, a w „Wielkim“, by podziwiać Szekspirowski „Sen nocy letniej“, który nadspodziewaniem cieszy się powodzeniem.

Dyrekcya wpadła na dobry pomysł urządzania koncertów symfonicznych pod kierunkiem p. Rzebiezka i w Piątek właśnie rozpoczyna ich szereg zajmując ułożonym programem. Warszawa rzadko ma sposobność uczestniczenia w takich uroczach muzycznych, bo brak jej odpowiednich środków, osobnej orkiestry, śpiewaków, churów wyćwiczonych; teatr zaś rozporządza tem wszystkim i łatwiej może na większą skalę podejmować się pięknych zadań w tym rodzaju sztuki, o którym u nas wiele mówić, ale zwyczajnie na słowach poprzestawać się zwykło.

Zobaczmy: czy publiczność warszawska potwierdzi swoją opinią i pretensje zapalanej „melomanki“ i zapelniać będzie salę Wielkiego Teatru na piątkowych koncertach; wymówki chyba żadnej już mieć nie będzie do uchylania się od tego obowiązku przyjemnego i taniego.

* * *

Wspomnieliśmy w ostatniej Pogawędce, że żyjemy w epoce jubileuszów, w istocie nigdy ich tyle razem się nie zebrało, ile obecnie. Świat lekarski obchodził uroczystość w Warszawie pięćdziesięciolecie naukowej pracy Dr. Szokalskiego, którego przed pół rokiem na zjeździe medyków w Poznaniu uczczono już raz zasłużoną owacją. Towarzystwo Lekarskie poczuło się do obowiązku uwieńczenia zasług „ojca okulistyki polskiej“ na uroczystym zebraniu, a w salach Resursy Obywatelskiej urządzono bankiet na cześć sędziwego jubilata. Mnóstwo adresów i telegrammów od swoich i obcych przyniosło należny hołd nestorowi warszawskich lekarzy. Redakcja „Gazety Lekarskiej“ wydała zbiorową książkę w 150 egzemplarzach, ułożoną z samych prac oryginalnych przez Dr. Talkę, znanego okulistę. Podczas uczy, do której zasiadło około 200 medyków, zebrano sumę przeszło pół tysiąca rubli, na fundację stypendyjalną imienia Szokalskiego i w ten sposób upamiętniono dzień, piękny dla jubilata i dla nauki naszej, która pochlubić się może takim pracownikiem.

Z kolei obchodzone być mają jeszcze w gronie lekarzy warszawskich dwa inne jubileusze; w tym miesiącu kończy bowiem 25 lat doktorskiego zawodu prof. Hoyer, a w grudniu srebrne wesele z medycyną obchodzić będzie Dr. Tyrchowski. Oba nazwiska znane są dobrze i zapisane w księdze pamiątkowej zasłużonych medyków polskich.

Korrespondencye z Krakowa przyniosły nam szczegóły o jubileuszu Bałuckiego; obywatelstwo miejscowe wydało na jego cześć bankiet, Koło Literacko-Artystyczne urządziło w swoim lokalu wieczór i obdarzyło jubilata cennym upominkiem w postaci srebrnej konchy na bilety. Artyści teatru lwowskiego przysłali delegata z wieńcem srebrnym, krakowscy, jakkolwiek osobistego udziału nie brali w obchodzie, złożyli jednak adres ozdobnie wykonany, przyjaciele i kolledzy z Warszawy ofiarowali gustowną tekę na papiery z licznymi podpisami, redakcja „Kuryera Codziennego“ wysłała album z fotografiami swoich współpra-

cowników, rozmaite instytucje polskie i czeskie drogą telegraficzną powinszowały tak chlubnej rocznicy pisarzowi, który talentem swoim i pracą zasłużył się tak dobrze naszej literatury powieściowej i dramatycznej.

Bałucki w przemówieniu swoim określił postępowe i demokratyczne przekonania, którym służył wiernie przez ćwierć wieku, zastrzegając się przed solidarnością z krzyklwem warcholstwem i pozornymi hasłami postępu wymyslającego tylko tym, co w miejscu stoją, albo wygodniejsze stanowiska zajmują. Toast wznosił na powodzenie i rozwój mieszczaństwa w takim duchu i znaczeniu, jakie krajowi i społeczeństwu najwięcej prawdziwego mogłoby przynieść pożytku; aby się oczyścić z fałszywych zarzutów anti-religijnych dążeń i usposobień wypił za zdrowie obecnego na uczcie ks. kanonika Polkowskiego, zapewniając, iż odwieczne idee ludzkości zawsze szanował, a tylko fałszywe apostołstwo, obskurantyzm i bigoteryą satyrą swoją dotykał.

W licznych mowach, pomiędzy którymi toast Asnyka wyróżniał się formą i treścią, sławiono talent, pracę i charakter jubilata, życząc mu złego wesela z literaturą.

* * *

Na bruku warszawskim, według doniesienia dzienników powstać ma towarzystwo oryginalne w swoim rodzaju, mające na celu obronę kobiet przed napaścią Donżuaneryi ulicznej.

Bardzo to znaczne i szlachetne intencje, ale sądzimy, że osobnego stowarzyszenia nie potrzeba tam, gdzie każda ucziwa kobieta, zaczepona przez śmiałka, ma prawo odwołać się do pomocy pierwszego lepszego przechodnia. Każdy przyzwoity mężczyzna *eo ipso* jest członkiem takiej moralnej instytucji, która każe mu bronić słabsze istoty i otaczać je w razie potrzeby swoją opieką.

Przypuszczamy, że ta tradycyjna dworskość i poczucie honoru nie wygasły w potomkach dawnych rycerzy i *galantuomów* naszych, aby potrzeba było wskrzeszać je dopiero w formie sobnych korporacji.

Donżuanerya jest plagą Warszawy i przeciw niej zaostrzyć-by należało kodex opinii, ale i nasza pleć piękna powinna się starać o to, by ją otaczała ta powaga niewieściej godności, która trzyma się zdaleka i onieśmiela najbardziej awanturnicznych Don-Juanów.

Jeżeli o osobnem stowarzyszeniu w powyższy sposób się wyrażamy i nie uznajemy zbyt wielkiej praktyczności i potrzeby, to mamy jeszcze inne względy na myśli, które nam przypominają fatalność wszelkich niemal powstających asocjacji u nas, jak ustawy, organizacje, składki i tym podobne.

Te składki zwłaszcza, bywają kamieniem na drodze rozwoju wielu publicznych instytucji, a na ich czele stoi Towarzystwo Osad Rolnych, które gdyby drogą sądową mogło i chciało wyeksekować od nierzetelnych swych członków długoletnie zaległości, pozyskałoby znaczny fundusz na utrzymanie osady studzienckiej, wynoszący przeszło 30,000 rs., z czego 5% przypada na rachunek prowincyi.

Toż przy każdej partyjce wista, czy preferansa odkładając kilka groszy, mogłaby większość dłużników w ciągu roku zmasać swój i swych współników kredyt....

NA MOIM GROBIE.

Nad moim grobem, w wiosenny Maj,
Nie pragnę by się drzew chylił gaj,
O, nie!
Bo kiedy wiosny umilknie śpiew,
To najpiękniejsze z zielonych drzew
Już schnie.

Nie pragnę wieńca z fiołków i róż:
Wieczorem czarny zsybie je kurz
I pył.

I nie chcę słyszeć słowika lir:
Milknie w mgły rannej osnuty kir
Bez sił.

Nie chcę, by lekkich motyli chór
Wznosił się z tęczą złocistych piór
Nad grób,}

Nie chcę, by cyprys ponury rósł
I liść żalobny kolumnie niósł
Do stóp.

Nie chcę, by mojej mogiły krzyż
Do czarnych mirtu chował się nisz:
Sam niech
Jesiennych wiatrów wytrzyma huk,
I niech go broni wszechmocny Bóg
Od ech—

Które na cmentarz zanosi świat,
A które każdy powarzą kwiat
I liść;

A gdy uśpionych podrażnią słuch,
Nie będzie w stanie zmartwiony duch
W dal iść.

Nie chcę na grobie nic z tego mieć,
Co wiednie różą lub musi mdleć,
Jak bez:

Lecz, ciebie, proszę, ty czasem wróc—
Ah! i na grób mój choć kilka rzuć
Twych łez!

Szczęśna.

SŁOWACZKA

NOWELLA

przez

T. T. JEŻA.

(Dalszy ciąg).

Nauczyciel od zaprosin na niedzielę następną wymówił się; Janosz jednak sam po niego poszedł i sprowadził—i znow mu rozpowiadał o koniu karym i o bitwie jakiejś; gdy zaś odchodził, zapowiedział mu, że na wypadek, gdyby się niedzieli której nie stawił, w kij go pohuzarsku zwiąże.

— Ze mną nie żartuj — mówił żartem — jam sam w kiju bywał; lasztkiem żelaznym w skórę brał.

Uregulowała się rzecz tak, że Lajosz stał się regularnym niedzielnym pod dachem Janosza starego gościem. Trafiało się też, że bywał i ktoś jeszcze. Niekiedy Franio do stołu zasiadał i wówczas stary miał dwóch słuchaczy pilnych: Franio bowiem bez porównania bardziej podobało się to, co opowiadał stary o huzarach, aniżeli to, co opowiadał nauczyciel o Słowakach. Weszło to już w zwyczaj, tak dla Janosza, jak dla Lajosza, i zwyczaj ów utrzymał się wówczas nawet, kiedy Lenka do szkoły chodzić przestała, nauczywszy się czytać biegle, pisać nie źle, rachować nie zgorzej i kochać Słowaki.

Słowaki personifikował jej Lajosz Sztura. Na personifikacji kończyło się; uczucie nie posuwało się ani dalej, ani głębiej, zamykając się w rodzaju pewnym granic rodzinnych, w których Słowaków uważała za braci, podczas kiedy ludzie inni przedstawiali się jej jako bliźni. Śród innych na planie pierwszym stali—rozumie się—Madiary. Nie nienawidziła ich, ale miała do nich żal—żał głęboki, którego nie rozumiała dokładnie. Rozumienie jej we względzie tym prosto się wy-

rażało, że się czuła Słowaczką. Uczucie to szło jej, nie z ojca, który nie miał siebie ani za Słowaka, ani za Madiara, ale za ex-huzara: udzielało się jej ono od nauczyciela, tak, że za sprawą jego uznawała się Słowaczką i za sprawą jego uciuwała żal do Madiarów. Ztąd pomiędzy nią a nią istniała styczność sympatyczna natury żywej, ale niegorącej i nieczyniącej podryw sympatyi, jaka wiązała ją z Franiem, uważanym przez nią więcej, aniżeli bliźni i więcej, aniżeli brat. Wiedziała o tem, że z Franiem połączyć się ma związkiem małżeńskim w przyszłości nienader dalekiej—za lat trzy, cztery, skoro tylko chłopiec, wędrowną odbywszy, na majstra w rzemiośle ojcowiskiem się wyzwoli. Rzecz tę uważała jakby za zawyrokowaną bez prawa apellacyi i nie miała przeciwko temu nic, Franiowi bowiem nie tak bardzo do zarzucenia nie było. Że się w szkole nie koniecznie uczył; że podczas, kiedy nauczyciel opowiadał lub czytał, jemu się spać zachciewało: to mu nie ubliżało; że się nie miał ani za Słowaka, ani za Madiara: w tem szedł za Janoszem. Zresztą wyrósł pięknie, zuchowstwo mu z oczów patrzyło i za Lenkę gotów był ludziom zęby wybijając i głowy rozwałać. Lenka przeto czekała na moment skojarzenia się z nim związkiem małżeńskim, jak po dniu dzisiejszym czeka się na przyjście dnia jutrzejszego. Czekania tego nie komplikowało nic postronnego i byłoby nie nie skomplikowało, gdyby nie wypadki roku 1848.

Wypadki te zaskoczyły Słowaków niespodzianie, w momencie, kiedy na drodze pracy narodowej pierwsze dopiero stawiali kroki. Nie wiedzieli, co z fantem tym począć. Ruch głośny i hulczny madiarski stłumił odrazu nieśmiałość odzywianie się patryotów słowackich. Słowacy byli do wzięcia pierwszymu, co na nich kiwnie; że zaś pierwszymi byli Węgrzy, oni przeto za nimi poszli. Inaczej być nie mogło. Poszli za siłą, która zawsze i wszędzie imponuje tłumom nierozumującym i nierozumiejącym.

W domku Janosza dwa starły się prądy: prąd ogólny, prezentujący się przy szabli, przy ostrogach, w dołmanie, mentyku i kołpaku, i prąd cichy, przemawiający przez usta Lajosza:

— Do niczego się nie mieszajmy, na stronie się trzymajmy: czekajmy, co z tego będzie.

Janosz za tą szedł radą dla dwóch powodów: raz dlatego, że sam, jako stary i gruby, udziału w ruchu ani za, ani przeciw wziąć nie mógł, powtóre dlatego, że miał nie syna, ale córkę, która się do formujących honwedów nie nadawała. Z konieczności więc rzeczy na stronie się trzymał i czekał. Nie wywnętrznił się—nie rozrzewniał; okrzykiem *elien a sabaczak* (niech żyje wolność!) potakiwał, najmniej bowiem rozumiejącemu wolność jest miłą; zresztą pędził żywot trybem zwyczajnym i miał, w całym zawieruchy tej ciągu, raz jeden tylko do rozstrzygnięcia kwestyą kłopotliwą. Zdarzyło się to wówczas, kiedy się Franio naparł iść i kiedy decyzya w mierze tej do rozstrzygnięcia ostatecznego pozostawioną została jemu. Rozstrzygała się ona raz i drugi, stopniowo, najpierw w zasadzie, następnie w zastosowaniu.

— Iść czy nie iść?

Ojciec Frania, Lenka i Lajosz przytrzymywali chłopca, powtarzając mu nieustannie:

— Czekaj!

On się rwał, tysiące powodów podawał; powiadał pomiędzy innemi, że się z niego będą śmieli, że jemu się chyba utopić przyjdzie, że on nie wytrzyma.

Gdy się sprawa przed Janosza wytoczyła, stary głową pokręcił, brwi zmarszczył, grubo, a z przyciskiem chrząknął i odpowiedział:

— Prochu powącha, a to zdrowo: niech idzie. Com ja na tem stracił, zem się zamłodu „kunirował”? Co to mi zaszkoziło? Człowiek człowiekiem prawdziwym nie jest, póki się w świecie nie przetrze. Ma ochotę: niech idzie.

Rozstrzygnęła się jedna i wnet druga kwestya na stół się wytoczyła. Wytoczyła ją Lenka.

— Niechże przynajmniej z Madiarami nie staje — odezwiała się.

— A? — zapytał stary.

— Madiary *madiarorszag* wywołują. Oni są przeciwko nam — odrzekła.

— Przeciwno nam?

— Myż Słowacy...

Lajosz z pomocą jej pospieszył i opowiadał o ucisku, o pomiataniu narodowości słowackiej na jej śmieciach własnych, o prawach naturalnych Słowaków deptanych przez Madiarów, o obowiązku upominania się o takowe. Przeczytał wreszcie odezwę podpisaną przez Hurbana, która się do rąk jego dostała drogą tajemną. Stary słuchał, słuchał; zdawało się, że zrozumiał, i zapytał:

— Czy jest na to *b.fel* jaki?

Pokazało się, że nie rozumiał nic.

— Jak skoro *befelu* nie ma, to...

— W razie takim pytać należy sumienia własnego: po której stronie prawda?

— Hm? — mruknął. — Bezpieczniej i pewniej jest zapytać: po której stronie huzary?

— Po madiarskiej! — podchwycił Franio.

— Ano. To rzecz skończona.

— Więc ja idę.

— Idź.

— Formują właśnie w czapkach czerwonych, *werezypkosz*, batalion...

— Batalion! — krzyknął Janosz, jakby w przeobrażeniu. — Piechota? *bagańczarsze*? Ani mi się waży! Gdybyś się do *bagańczarsy* zaciągnął, pamiętaj, pamiętaj, że próg domu mego jest dla ciebie zakazany i że Lenkę zobaczysz, jak ucho swoje! Huzary.—co innego.

Lajosz, chcąc sytuacją ratować, skorzystał ze wstrętu starego do piechoty i wynajdował trudności rozmaite w zaciągnięciu się do huzarów, których, jak na toż, w Koszycach nie było. Napomnął przytem o kiryssyerach, dragonach, szwoleżerach, wreszcie ułanach.

— Nie, nie — stary na to, palcem kiwając — Kiryssyery? dragony? szwoleżery? ułani? — usta wzgardliwie skrzywił. — A przytem o prawdę chodzi. Gdzie huzary, tam prawda. Albo on do huzarów niech idzie, albo niech w domu siedzi.

Jakby na zawołanie, w chwili tej słyszeć się dały trąbki na trakcie. Trakt z domku Janosza widnym był w dali. Trąbka mu była znana. Stary skoczył. Franio wybiegł i wnet do izby powrócił z okrzykiem:

— Huzary!

Kwestya się rozstrzygnęła ostatecznie. We trzy dni później narzeczony Lenki poszedł w pochod na koniu karym. Stary, żegnając go, błogosławił i instrukcyje co do obchodzenia się z koniem dawał, tłómacząc, dlaczego lepiej jest służyć w kawalerji, aniżeli w piechocie.

— Człowiek na koniu — słowa jego — rozumniejszym jest, aniżeli na piechotę: co dwa rozumy, to nie jeden.

Tak tedy—Franio poszedł.

Oh! płakała Lenka za nim! — Iży lała, a lała.

— No, przestań—upominał ją ojciec.

— Ja go Kocham!

— Wielka szkuka! Jam karego mego kochał, a przecie trochę zapłakał i przestał. On wróci. Oho! Na wojnie śmierć gościć trochę chodzi, niż w mieście, nie każdego jednak się chwyta.

— Mnie śmierć jego trwoży, ale nie boli — wtrąciła.

— Cóż boli ciebie?

— To, że on z Madiarami.

— On z huzarami — poprawił.

Dziewczyna się z ojcem dogadać nie mogła. On swoje, ona swoje; wreszcie Lenka zamilkła i z kłopotów swoich zwierzać się nie miała przed kim innym, tylko przed Lajoszem, gdy on w niedzielę, jak zwykle, przychodził. W celu tym przybywał wcześniej trochę—na godzinkę przed obiadem, i miał chwilę czasu do wsunięcia w ucho dziewczyny słówka pociechy.

— Jakoś to będzie — tłómaczył. — Madiary walczą o wolność i równość; gdy je wywalczą, toć nie będą mogli zabrać ich dla siebie wyłącznie, tembardziej, że wojska ich pół na pół prawie ze Słowaków się składają. Werezypkoszy, toć to Słowacy sami, wszyscy z Koszyc. Nie smuć się więc, nie rozpaczaj. Zresztą wybór trudny, jeżeli bowiem źle jest trzymać z Madiarami, to nie dobrze i z Austryakami. Prawda i słusność pośrodku, a na nią jeszcze pora nie nadeszła.

— Toć on mógł się na stronie trzymać.

— Zapewne, gdyby w nim krew gorąca była nie zagrała. Młody.

Lenka po Lajoszu okiem powiodła. I on był młody; a luboć nie wyglądał tak, jak Franio, zawiadyacko i zamaszycie, zaznaczał go jednak wdzięk, bodaj czy nie większy, z tego względu, że stanowił powłokę wartości moralnej, patrzącej mu z oczów i z czola. Okiem po nim powiodła i doznała uspokojenia głębokiego, pochodzącego nie z kąd inąd, jeno ztąd, że mu ufała. To, co od niego usłyszała, wydało się jej racjonalnem. W rzeczy samej pora jeszcze nie nadeszła: Słowaccyżna, jako taka, do walki nie wystąpiła. Za sobą sama nie przemówiła. Gdziezy Hurbana i Hodży krażyły wprowadzić, lecz ukradkiem i bez stempla, ani oficjalnego, ani też narodowego uznania. Tłómaczył jej to Lajosz, niósł jej pociechę, i ona rada mu była, gdy z nią słów kilka zamieniał. Po niedzielę każdej upłynionej wyglądała następującej z niecierpliwością.

Niedziela pewna nadeszła i Lajosz nie pojawił się w porze zwyczajnej. Pora minęła, jego nie było. Stary się niecierpliwie począł.

— Spóźnił się — mówił. — Dawajcie jeść; albo nie, poczekajmy jeszcze trochę.

Czekano.

Stary kłatwy zpod nosa rzucał.

— Dawajcie jeść; albo nie.

Powtórzyło się to razy kilka, aż już dłużej czekać nie można było. Stary kazał obiad podawać. Przy stole opanował go humor jaknajgorszy, do tego stopnia, że się na Lenkę z racyi wieprzowiny z kapustą rozgniewał. Wieprzowina wydała się mu niesmaczną.

— Nie dziw — mówił — że ludzie do nas na jedzenie nie spieszą, nie spodziewając się jadła smacznego.

Jadł i gderał, a po obiedzie do Lajosza się wybrał. Lajosz w szkole mieszkał, w komornem u małżeństwa starego, które budynek w całości i czystości utrzymywało i nauczyciela za wynagrodzeniem skromnem żywiło: z pensji szczupłej nie żyłyby inaczej. Staruszek i staruszka gazdowali, i to, co od Lajosza dostawali, stanowiło dochód ich najznacniejszy.

— Ehm uhm! — chrząknął głośno Janosz, do sieni wchodząc.

Na spotkanie jego wyszła staruszka.

— Pan Lajosz Sztorn? — zapytał.

— Niemasz go, niema — odpowiedziała głosem żalonym.

— Jaktó niema?

— No, niema.

— Poszedł i wróci?

— Poszedł i nie wróci — zabrzmiała odpowiedź.

Odpowiedź ta wprawiła Janosza w rodzaj osłupienia, które gdy przeminęło, krzyknął:

— To być nie może!

— Poszedł — powtórzyła staruszka.

— Czemużby wrócić nie miał?

— Nie wiem, nie wiem — jęczała, wdychając.

— Hm? uhm? Kiedyż wyszedł? — zapytał.

— Dziś dzień piąty we środę.

Stary miał się już ku odejściu, lecz raz jeszcze się odwrócił, a to dlatego, że mu szkoła na myśl przyszła.

— Jakże szkołę zostawił?

— Tak zostawił—zamknięta. O Boże! — westchnęła.

— Świat się kończy, świat się kończy — powtarzał sobie pod nosem Janosz, do domu wracając.

Powtórzył to samo Lence, która zbladła, gdy wyrazi te usłyszała.

— Świat się kończy, *b... terem-tiszen, b... a zania!* zaklął.

Lenka nie pytała. Domyślała się wiadomości jakiejś niepomyślnej i lękała się usłyszeć takową, pomimo, że wiedzieć pragnęła.

Stary raz jeszcze powtórzył, że świat się kończy, raz jeszcze zaklął i, sapiąc mocno, usiadł.

— Nie spodziewałem się tego — wychnął.

— Czego, ojczy? — zapytać się odważyła.

— Żeby się nie opowiedział mnie. Cóż to ja! Jam bez niego w niedzielę obiadu zjeść nie mógł a on...

Wyraz ostatni tym zabrzmiał tonem, jakim się wymawia: „niewdzięcznik!”

— Więc się z nim coś stało?

— Poszedł, odszedł i mnie nie powiedział.

— Dokąd?

— A, ba. Powiedz ty mnie, to ja powiem tobie.

Lenka za głowę się wzięła.

— Boże mój. Boże mój — westchnęła.

— Powiadam: świat się kończy. On do szkoły tej przywiązany był, jak pies łańcuchem do budy i szkołę rzucił.

— Dokąd-że by pójść mógł?

— Jeżeli nie do huzarów, to niech nie przestępuje progę mego.

Lenkę bardzo to zniknięcie człowieka, któremu ufała, dotknęło. Frania żałowała, jak się żaluje ukochanego; Lajosza — jak brata. Nie przypuszczała, ażeby ten ostatni zaciągnąć się miał pod sztandary jednej ze stron, co wojnę toczyły. Cóż więc ze sobą zrobił? Było to dla niej zagadką, która się rozwiązać miała niebawem. Wkrótce po zniknięciu Lajosza władze węgierskie opublikowały rodzaj ostrzeżenia pod adresem Słowaków, wzywającego ich, ażeby się ludzić nie dawali manifestowi niemieckiemu, poręczającemu im prawa narodowe pod warunkiem pomagania wiernie i gorliwie wojskom cesarsko-królewskim. Był to stempel oficjalny, przyłożony do odezwy Hurbana i Hodźego; była to na odezwach tych wiza urzędowa. Tego im dotychczas brakło. Dziewczyna domyślała się, nie była jednak pewną. Domyśl jej stwierdziły gazety węgierskie, przynoszące wiadomości o „bandach” słowackich, formujących się w komitatach górskich pod przewodnictwem księży i pastorów. Nie wątpiła, że Lajosz tam się udał, ojcu jednak nie powiadała, na jaki domysł wpada. Stary-by kłutwą na niego rzucił, gdyby jeno podejrzewał, że Lajosz ani do kawalerii, ani do piechoty nawet, ale do chłopów wstąpił, że nie z szabłą, ani pod karabinem nawet, ale pod kosą stanie. Domyśl ten zachowała dla siebie i myśla, uczuciem całym do „band” tych przyglęła.

— Słowaczyna się opowiedziała nakoniec.

I jakby dla utwierdzenia się w przekonaniu tem, Lenka czas cały od zajęć domowych zbywając obracała na odczytywanie dawnych dziennika *Narodne noviny* numerów, które przechowywała u siebie.

(Dokończenie nastąpi).

JOANNA CARLYLE.

(Dalszy ciąg).

Piękna panna była córką uczonego i zamożnego lekarza. Ród Baille Welsh z Craiggenputtock stary był i szanowany, Joanna między przodkami ojczystymi liczyła fanatycznego reformatora, Knox'a; ze strony macierzystej płynęła w niej kropla bohaterskiej krwi Wallasa, który za panowania Edwarda I-go podniósł przeciw Anglii sztandar Szkocy. I ona posiadała obok wyższych zdolności umysłu i wielkiego pragnienia wiedzy, serce pełne zapału i poezji, przytem wielką żywość i śmiałość, przedsiębiorczość, która w dzieciństwie czyniła ją podobną do chłopca. Wdzierać się na najwyższe drzewa, aby z nich patrzeć w dal; przebywać mur ogrodowy, aby wydobyć się poza jego obręb przedziej, niż zwykłą drogą przez bramę,—należało do rzeczy u niej zwyczajnych. Tosamo było z umysłem, i to poczynając od lat niemal dzieciennych. Uczyć się wszystkiego, o czem wiedziała, że uczą się inni, było w niej nieprzepartem pragnieniem, i dlatego żalowała głośno, że się nie urodziła chłopcem. Ojciec, widząc to usposobienie córki, rozszerzył dla niej ówczesny programmat nauki dziewcząt; uczyła się algebry i łaciny, a zdolności jej okazały się tak niepospolitemi, że wyprze-

dzając emancypacyjne pod tym względem usiłowania naszego wieku, uczęszczała na naukę matematyki do szkoły mekkiej i prędko stała się najpierwszą między swymi towarzyszami. Z łaciną było podobnie; uczyła się chciwie i szybko, zostając z drugiej strony dzieckiem i to takim, w którym ta mekka nauka nie naruszała w niczem przyszłej kobiecości. Bawiła się lalką, tylko wyobrażnia jej stroiła ją sobie inaczej, niż to bywa u pospolitych dziewczynek. Nie gotowała z nią i dla niej obiadów na kuchenkach blaszanych, ale czyniła z niej bohaterkę poezji starożytnej. W pamiętniku jej z lat młodych, który spisywała obyczajem owych czasów, znajduje się ustęp charakterystyczny. Gdy zaczęła tłumaczyć i okazywać wielkie zamiłowanie do Wirgiliusza, jej professor łaciny powiedział jej raz z uśmiechem: że panna, która studjuje Wirgiliusza, nie powinna bawić się lalkami i ona nieboga wzięła rzecz do serca. Lalka została skazaną na śmierć, ale jak miała skończyć?—Jak Didona... odpowiedziała sobie panna studująca Wirgiliusza; obrzęd samobójstwa i całopalenia został też natychmiast przygotowany. Wzniósł się stos z dwóch kawałków drzewa, jakoby cedrowego, trochę cynamonu, parę gwoździków i gałka muszkatołowa przedstawiały wonności, cała a świetna garderoba lalki, były to skarby, także tu złożone, aż wierzchem nad tem wszystkim zostało ustawione łóżko z dwiema kolumnami, i wtedy Didona przy pomocy swej właścicielki położyła się na nim, wyrecytowała ze smętnym patosem łacińskie pożegnanie świata ¹⁾, a skończywszy je, biedaczka „blada już przyszłą śmiercią”, dotknęła stos pochodnią i przeszła sobie łono ostrzem—syczoryka! Ogień zajął się natychmiast, a że nieszczęśliwa samobójczyni miała w sobie zamiast krwi otręby, pożar ogarnął ją w okamgnieniu, Joannę zaś odstąpił nagle tragiczny nastrój: z żalu za lalką wybuchała płaczem głośnym, wreszcie krzykiem rozpaczonym, gdy usiłowanie przygaszenia ognia okazało się nadaremne. Przybieżono jej na pomoc, a Joanna opisując to zdarzenie, napisała jakgdyby w boleśnym przyszłości swej przecuciu: „Zdumawałam, że takie to są dzieje poświęceń heroicznych: decydujemy się na nie wielkodusznie, wykonywamy wspaniale, aż żal przychodzi nagle w chwili ostatniej i wydajemy dopiero daremny krzyk boleści”.

Wirgiliusz w ogóle wywarł na nią wpływ ogromny, poezja jego słodka i uczuciowa, oddziaływała przeciw pospolnej nauce Kalwina. Według świadectwa Carlyle'a, a głównie wedle tego co dowodzą pozostałe listy i notatki pamiętnikowe umysł to był bardzo śmiały, w poglądach swych szeroki, chciwy prawdy i wiedzy. W czternastym roku życia napisała Joanna jakąś tragedją według wzorów klasycznych, w dwudziestym czytała Rousseau'a i Byrona. Literatura nowoczesna poczęła też odciągać ją od studyów starożytnych, i matematyki, z wielkim żalem jej professorów, którzy widzieli w niej kobietę genialną, mającą sławną przyszłość przed sobą. Umysł jej jednak nie mógł się ograniczyć do pewnych tylko przedmiotów wiedzy, była na to zagorąca, za żywy: a jest to przecież rysem charakterystycznym, że przy takim usposobieniu, nigdy, w żadnej fazie swego intelektualnego rozwoju, nie podjął on takzwanej kwestyi praw kobiecych, kobiecej emancypacji. Umysłowo zapewniła ją ona sobie sama przez siłę własną; w kierunku zaś obyczajowym i rodzinnym nigdy ani na krok nie wyszła poza to, co zdawiadawna było uważane za obowiązek kobiety, więc zapewne tak to pojmowała i dla innych. Miała tylko pragnienie pisania i drukowania, miała pragnienie dzielenia się z innymi myślą swoją, i to może zdecydowało ją do poślubienia Tomasza Carlyle.

Jej miłość dla Irwinga była nieszczęśliwą i musiała zostać zerwaną. Nie był on już człowiekiem wolnym, miał zobowiązania dawniejsze, podobno żonę pozostawioną w Ameryce, i żenić się nie mógł; gdy więc ukochany człowiek musiał się z nią rozstać, przyjaciel jego stał jej się teraz bliższym, miłszym od innych. Przytem wysoki

umysł Carlyle'a pociągał ją ku niemu, okazywała mu to, lubiła wyraźnie jego towarzystwo i to zrodziło w nim chęć pozyskania jej sobie—lecz bynajmniej nie dlatego, aby w sercu jego miała powstać dla niej miłość. Nie! Carlyle uważał to uczucie za coś niższego, małego i nędznego i zaliczał je pomiędzy drobnotkowe zabawki próżniaczego, światowego życia. Chciał on małżeństwa jako ustalenia losu i zapewnienia sobie wygodnego spokoju. Niezmiernie niepraktyczny i pełen niezwykłego wstrętu do wszelkich rzeczy, narażających go na stykanie się z pospolitym światem, zapragnął się ożenić, aby cała materyalna troska życia spadała na żonę, zapewniając mu istnienie niezakłócone niczem. Niesłuchanie wrażliwy i drażliwy na najmniejszą przeszkodę w pracy, unoszący się namiętnie gniewem niecierpliwym, potrzebował zupełnego, doskonałego spokoju, aby mógł pisać. I dlatego-ż zbliżał się już do południa życia, do lat trzydziestu, a choć umysł jego był pełnym myśli, które chciał wylewać na papier, przecież prócz kilku przekładów z niemieckiego i kilku oryginalnych szkiców o Schillerze, nie jeszcze nie stworzył. Więc gryzł się w sobie i szamotał razem ze swoim położeniem i z dzikim charakterem swoim: z losem i wewnętrzną swą istotą, aż naraz jako jedyny środek wybawienia ukazało mu się małżeństwo z Joanną. Była majątną i rozumną, była taką, jakiej właśnie potrzeba mu było, i postanowił zdobyć ją sobie.

Już nie miała wtedy ojca, już niemal sama rozrządzała sobą; przecież oświadczyły jej spotkały się z odmową. Pierwsza miłość Joanny była zbyt silną, aby druga mogła tak prędko powstać na jej miejsce; są przytem serca, które nie mogą doznawać tego uczucia dwa razy, a Joanna właśnie należała do takiej liczby istot wiernych i wytrwałych, nie mogła więc pokochać raz drugi i odpisała: — „Jak długo żyć będę, tak długo nie przestanę być ci przyjaciółką; najlepszą, najserdeczniej oddaną ci przyjaciółką, ale żoną twoją—nigdy! Tak! nigdy... nigdy... Choćbyś był bogaty jak Krezus, otoczony takimi zaszczytami i sławą, jaką niewątpliwie posiędziesz—nigdy!”

Ale Tomasz Carlyle był to człowiek uparty i zaciętego charakteru, a łup, który sobie upatrył, był mu zbyt pożądanym, aby dał się tak łatwo odpędzić od niego i odmowa Joanny nie była też zdolną tego uczynić. Nie przestał jej widywać, a co więcej, nie przestał obiegać jej serca, działając przez wszelkie możliwe sposoby. Chciał ją skruszyć przez litość, malował jej stan okrutny swego umysłu i serca, potężnym swem piórem kreslił jej obrazy cierpień, które ona jedna mogła uleczyć; i pisywał do niej takie oto listy:—„Od wielu już miesięcy wszystkie głosy mego sumienia grzmiały we mnie jak trąba archanioła.—Człowieku!—krzyczą—idziesz w kierunku zatracenia... Twoje dnie i noce marnieją w daremnych męczarniach, twoje serce rozkłada się w goryczy, i pies, który spi u drzwi twoich, lepiej od ciebie używa życia. Podnieś się o ty śmiertelniku, któryś nigdy nie zaznał szczęścia... Podnieś się i przebuduj przeznaczenie twoje, jeżeli jesteś zdolnym do tego. Podnieś się w imię Boga! w imię tego Boga który ciskając cię na ten świat, przeznaczał cię na coś innego, niż błąkanie się tam i napowrót, nosząc w piersiach bez winy płomienie ogni piekielnych i cierpiąc w milczeniu, aby umrzeć nie żyjąc nigdy”.

Ze kobieta z uczuciem gorącym, i to kobieta wierząca silnie w genialność tego, którzy to pisał, mogła czuć się wzruszoną,—nie potrzeba dowodzić. Przypuszczała zapewne, że jest kochaną namiętnie. Ona, piękna, ona, uwielbiana od wszystkich, mogła to przypuścić, i, niestety, dopiero po ślubie przekonała się czem w oczach Carlyle'a była miłość. Ślad tego ciężkiego rozczarowania pozostał w jej pamiętniku. Z powodu któregoś romansu Tackereya, powiedział on jej, że „jest rzeczą fałszywą i potępienia godną, aby przedstawiać miłość jako rozciągającą się na całe istnienie człowieka i tworzącą życia tego interes wyższy.” Nie... rzecz którą nazywają miłością, ogranicza się jedynie do lat kilku życia ludzkiego, a nawet w tym nieznacznym odłamie czasu, jest dla człowieka tylko jednym z przedmiotów po

1) Dulces exuvia, dum fata Deusque sinebant
Accipite hanc animam, meque his exsolvite curis.

mniejszej wagi, wobec tysiąca innych ważniejszych. I w czasach heroicznych nikt-by też nie zadawał sobie trudu myśleć o tem, a tem więcej mówić. Tak czuje „największy filozof naszych epok”, pisze biedna kobieta, wiedząca już teraz, że to bynajmniej nie miłość czyniła go tak upartym w chęci pozyskania jej sobie, że nie przez miłość ten „filozof” tak się przychylił do niej klezczami nieprzeparowanego postanowienia. Ale wiadomość ta przyszła później, a pierwaj każdy list odebrany od niego, mógł ją, silnie wstrząsać, i podkopywać jej opór. W jednym malował jej cierpienia swoje, w drugim są takie oto wyrazy: — „Najdroższa przyjaciółko, czyż jesteś pewną, że wytworzyłaś sobie sprawiedliwe pojęcie o mnie i położeniu mojem? Jestem człowiekiem, który przebył siedm lat w torturach nieustannych, którego głowa i serce są jednakowo spustoczone, i w ponurość wtrącone, i który nie widzi innego wyjścia z tego stanu, jak tylko w zupełnej zmianie kierunku. Nie powinienem i nie mogę już żyć dłużej takim, jak dotąd życiem, bo cierpliwość moja już jest wyczerpaną. Bez przesady to mówię, że lepiej było by dla mnie umrzeć, niż pozostać w takim stanie.”

Było to wykazywać jej, że jest jedyną deską jego zbawienia, liną ratunku spuszczoną nieszczerliwemu w głąb przepaści. Ale ona jeszcze się broni, wykazuje przeszkody, stojące na ich drodze: on przecież, zawsze w listach, bo Joanna mieszkała wtedy z matką po za Edynburgiem, w miejscowości Haddington — wymawia jej ten zbyt rozsądku, na co ona odpowiada ze szczerością szlachetną, że powód do tego może się łączyć ze stanem jej serca — że może doświadcza właśnie silnej chęci, aby być rozsądną, i pisze „Moje serce, czuję to, jest zdolne do miłości, wobec której żadna przywacya nie byłaby ofiarą; do miłości, która nie robiłaby sobie nic z opinii ludzkiej, z rozumu, i która porwałaby za sobą wszystkie myśli i całą istotę moje. Ale... Wylomaczyłam ci już, przyjacielu mój, naturę mego uczucia dla ciebie.”

On się zadawał tem, co mogła mu dać, i Joanna straciła w końcu siłę oporu, a nawet zmiękczyła siłę oporu matki, bardzo przeciwniej temu małżeństwu, które nie przedstawiało bynajmniej świetnej party dla pięknej, rozumnej, wysoko w opinii ludzkiej stojącej panny. Najzupełniej biedny, brzydki syn murarza z Ecclefechan, bez ustalonego losu, niczem jeszcze nie wykazujący tego wielkiego talentu, którego się w nim domyślano jedynie, mógł nie podobać się matce; ale teraz córka stała po jego stronie. Miłości nie było nigdy w jej sercu, ale oprócz przyjaźni znalazło się z kolei i przywiązanie, powstałe z uczucia, którego doznaje bardzo wiele kobiet, gdy sądzą, że są silnie kochane — z uczucia wdzięczności, mieszczącej w sobie tliwość, zdolną zastąpić poniekąd miłość: i tak się stało z Joanną, która na krótki czas przed ślubem tak już pisała: „Nie wiem, jakim to sposobem mimo mej dumy i mego uporu, pozyskałaś takie panowanie nademną. Ale tak jest: uparta względem wszystkich innych jak muł, dla ciebie jestem uległą i giętką. Słucham twego głosu, jak gdyby to był głos mego drugiego sumienia, tak prawie przemocnego jak to, które natura umieściła w głębi mej istoty. Zkąd ta władza twoja nademną, niebędąca tylko wpływem twego geniuszu i twojej cnoty?”

Było to przywiązanie — przywiązanie zdolne jej dać w związku z nim, jeżeli nie najwyższy szczyt takiego szczęścia, jakie tylko miłość wie dzie za sobą, to w każdym razie istnienie nie bez wdzięku: ciche, miłe i dobre. Tak-by też było, gdyby ten człowiek miał cokolwiek serca, i cokolwiek uczucia obowiązku względem tej, którą po tak długim uporze w końcu swoją uczynił. Ale nie było w nim nic tego — nic tej nawet delikatności i dumy mekkiej, która by mu kazała nie zabrać tak tej kobiety ze wszystkim, co posiadała na wyzysk dla osoby swojej. Egoista ten, tak przecież ubóstwił w sobie swój umysł i jego zdolności, że jak Minotaur postanowił spokojnie pożreć, poświęcić na korzyść swoje tę ofiarę. Carlyle przysiągł sobie bardzo szlachetnie i rozumnie, że literackiej swej twórczości nie zrobi rzemiosłem, z którego żył, ale trzeba mu było nałożyć na

siebie przymus jakiejś innej pracy na ten chleb, który w człowieku karui zwierzę, lecz on zenił się właśnie dla uniknięcia tej konieczności, i przed ślubem przyszło do przykrych rozpraw, na czem się oprze przyszłość nowożeńców? Joanna, jako uczciwa kobieta i dobra córka, nie chciała zabrać nic z majątku, którego używalność była zostawiona jej matce; wtedy Carlyle powiedział, że się zrobi farmerem, ale zamiar był razem szalony i dziki, i naturalnie, że został odrzuconym przez matkę, która ofiarowała zięciowi swój dom i utrzymanie obok siebie, ale tu Carlyle znowu postawił się odmownie: „Mężczyzna powinien rozkazywać w domu, a nie kobieta...” powiedział swej narzeczonej. Matki Joanny nie nawidził, choć przyznał w dzienniku swoim, że jest to kobieta niepospolita, ale dlatego właśnie, dla jej silnego charakteru, i rozumu postanowił trzymać ją zdala od swych spraw małżeńskich i zaproponował narzeczonej zamieszkanie w Ecclefechan przy jego rodzicach. Pomieszczenie dla nich znalazłoby się tam niewątpliwie, jego matka i siostry gotowały, prały, zajmowały się pracą folwarczną — Joanna mogła by im w tem dopomagać i rzecz byłaby skończona. Narzeczonej była już znać przerażona, zdruzgotana, ale matka nie mogła przystać dla córki na taki układ i skończyło się na tem, czego Carlyle chciał od początku: to jest matka panny najęła i urządziła ładny domek w Edynburgu i dała na roczne utrzymanie młodej pary, niemniej Carlyle nie przestaje stawiać się jako męczennik i ofiara losu. Myśl, że potrzebuje dla względów światowych kazać sobie zrobić nowe suknie i kupić rękawiczki, przyniata go i na kilka dni przed ślubem pisze o sobie w dzienniku: „Pożerany przez spleen, chory, pozbawiony snu, nie posiadający wiary, nadziei, miłości — jednym słowem: zły i godny pogardy”. O tem, aby po ślubie miał wsiąść z żoną do powozu zaprzężonego pocztowymi końmi, i jechać tak z nią sam — odległość była nie całe półtóry mili naszej — już nawet myśleć nie może. Proponuje, niby ze względów oszczędności, dyliżans i brata swego, wyrostka, do towarzystwa, ale to odrzuca już sama Joanna — brata murarzyka i dyliżans, a Carlyle, widząc że nie można już dalej wyciągać struny — przystaje, ale ucieka się do filozofii, aby zdobyć sobie odwagę do zniesienia tego wszystkiego: łyka, jak się wyraził, sto pięćdziesiąt kart *Krytyki czystego rozumu*, a gdy Kant mu nie dość pomaga, zwraca się do Waltera Skota i czyta jego romanse, które ulagadzają go trochę. Narzeczonej na siedm dni przed ślubem pisze do niego: „Proszę cię na miłość Boską, nie bądź tak pośepnego humoru, bo w takim razie wypadek (Carlyle użył tego wyrazu pisząc do niej o ślubie) będzie miał wygląd nie tylko bardzo oryginalny, ale łamiący serce”. On jej odpisuje do pewnego stopnia pocieszająco, a zawsze błyska jej przed oczyma jakąś nadzieją kollaracyi literackiej, i tylko zastrzega sobie, aby w czasie poślubnej podróży mógł wypalić w powozie bez żadnej krytyki z jej strony, trzy cygara, bo jest to rzecz „nie odzownie potrzebna do jego zupełnego zadowolenia.”

Naturalnie, że przystała. Szła do ołtarza z silnem postanowieniem uczciwego wypełnienia obowiązków dobrej żony; ale już wiele z jej złudzeń pierzeło, zrozumiała teraz i napisała mu to nawet, że jest dlań jedynie „jedną z okoliczności jego losu”. Wylała też wiele łez, ale już nie chciała się cofnąć — nie przeczuwała przecież, nie mogła przypuścić tego, co życie jej gotowało.

Przeszedłszy, jęcząc i skarżąc się w dzienniku swoim, okropność ceremonii ślubnej, bez której nie mógł sobie zdobyć dożywotniej gospodyni, z dodatkiem pieniędzy, które mu wносиła, Carlyle napisał do matki w kilka dni po ślubie: — „Jestem straszliwie wstrząśnięty i daleki od tego, aby mi było wygodnie w tem nowem położeniu, należy mi jednak przyznać, że los był dla mnie miłosierny. Dom jest doskonale urządzony i zaopatrzony we wszystko, czego można zapragnąć. Co zaś do mojej żony, muszę powiedzieć głębi serca, że jest wyższą nad wszystkie kobiety, jakie znam...” i tu następują pochwały bardzo względnę, bo odnoszące się w zupełności do tego, co jest dla niego samego korzystnem. Chwali ją, że pa-

tryzy na niego w sposób, który go przenika dobrą dla przyszłości nadzieją, że go kocha z poświęceniem, jednak cały ten dytyramb zakończy: — „Mówiąc prawdę, byłem wczoraj bardzo mrukiwy, chory z bezsenności, nerwowi, żółciowy i t. d.”

I żąda wciąż, aby mógł mieć brata przy sobie. W pierwszych czasach po ślubie miał zwyczaj zapisywać w dzienniku te z myśli w czytaniu spotykanych, które odpowiadały jego położeniu i d. 7 Grudnia, a ślub odbył się d. 17 Października wypisała z Tick'a: „Moje całe życie, to sen z nieustającym duszeniem zmyry, a przebudzenie będzie w piekle...”

Biedna kobieta! biedna kobieta! że przecież miała silne postanowienie wypełnienia przyjętego obowiązku, tak się ułożyła w stosunku swoim do męża, że przytomność tego brata, którego przyzywał, zaklinając go na miłosierdzie Boskie, okazała się zbyt czerłą. Carlyle potrzebował najzupełniejszej samoty i najwyższej ciszy, aby mógł pisać. Każdy hałas, najmniejszy jakiś ruch w domu, już odpędzał od niego myśli i zdolność tworzenia na dni kilka. Gdyby nie był tak despotycznym i ztąd tak gniewliwym, że nie może całego świata nakreślić do zachcen swoich, nie byłoby tak niewątpliwie, bo nie unosiłby się i nie rozdrażniał tak silnie. Ze przecież młoda małżonka była obok innych przymiotów bardzo rozumną, odgadła tę naturę i jej potrzeby, nakłoniła się do nich i w parę miesięcy po ślubie już jest tak: że „żył zupełnie sam dnie i noce, w gabinecie swoim lub na przechadzce”. Goście przytem nie bywali wcale, albo niemiernie rzadko; że zaś nie mogło być nawet szmeru nietylko w domu, ale w koło domu, przypadła młodej żonie ta funkcyja, aby koniecznie, jaką chciała drogą: prośby czy innych środków, wszystkie psy, koty, koguty, papugi, i w ogóle ptaki wszelkie zniknęły z sąsiedztwa.

(Dokończenie nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Październiku 1884 r.

Pożegnanie pani Boberskiej. — Wystawa Sztuk Pięknych. — Dzieje rodziny Fredrów w akwarellach Juliusza Kossaka. — Wystawa pszczolniczo-ogrodnicza w Tarnopolu. — *Wzory przemysłu domowego* przez Ludwika Wierzbickiego, zeszyt VII i VIII. — Nowości literackie: *Konferencye duchowne* ks. arcybiskupa Feleńskiego. — *Echa z południowej Afryki* przez profesora Romana. — *Wydanictwa Macierzy*. — Wykłady: ks. Kalinki „O generale Chłapowskim” i Wojciecha hr. Dzieduszyckiego: „O powieści Sienkiewicza *Ogniem i mieczem*.”

Stało się, czego się obawiano w naszych kołach nauczycielskich. Pani Boberska, zniewolona chorobą męża, nie dała się nakłonić do prowadzenia nadal swego zakładu wychowawczego, który w przeciągu lat blisko trzydziestu tak wiele zasług oddał społeczeństwu, i przeniosła się na wieś, aby odtąd w inny sposób, piórem, pracować w tym zawodzie, któremu się dotąd praktycznie z takim poświęceniem i tak zaszczytnie wyrobiła sobie w nim stanowisko. Przed jej ostatecznym wyjazdem ze Lwowa, z początkiem bieżącego roku szkolnego, pożegnała ją uroczyste zgromadzone umyślnie w tym celu w auli tutejszego gimnazjum imienia Franciszka Józefa, liczne grono przyjaciół, nauczycieli i nauczycielek wszystkich szkół tutejszych, tudzież dawnych jej uczennic i wychowanek. Podniosła i rzewna była ta scena, której wrazenie na zawsze zapisane pozostało w pamięci obecnych. Gdy deputacya, wysłana dla zaproszenia p. Boberskiej, wprowadziła ją do auli świątecznie przystrojonej odpowiednimi godłami, przemówił pierwszy imieniem zgromadzonych professor Małeki, i słowy owianymi ciepłem uczucia, serdecznie wypowiedzianymi, podniósł zasługi pedagogiczne i obywatelskie p. Boberskiej, przyczem się wyraził, iż gdyby była możność zatrzymania jej nadal gorącą prośbą na stanowisku, które opuszcza, błagałby na klęczkach, aby pozostała i nie odmarzała

młodemu pokoleniu wychowawczej opieki i światła nauki, które tyle zbawionego wywarły wpływu, tak wiele pożytku przyniosły. Następnie imieniem nauczycielek, spółtowarzyszek zawodu, żegnała jubilatkę p. Machczyńska, nauczycielka seminaryum pedagogicznego żeńskiego; p. Malinowski serdecznie dziękował za wzorowe wychowanie swych córek; inna nauczycielka rzeczonego seminaryum, p. Wechslerowa, odczytała utwór poetyczny p. Horoszkiewiczowej, wskazujący wzniosłe zadanie kobiety w społeczeństwie. Najserdeczniejsze były przemowy dawnych uczennic, których wdzięczności i przywiązania tłumaczem podjęła się być p. Kamilla Pohówna. Pozwolę sobie przytoczyć dosłownie parę ustępów z jej przemowy, na dowód, jak serdeczne przywiązanie umiała sobie zjednać wpośród uczennic swych zacna przewodniczka:

„Zasług twoich nie podnoszę—rzekła z rozrzewnieniem—bo czynili to już poprzednicy moi; pragnę tylko kilku serdecznymi słowy wyrazić w imieniu mojem i koleżanek moich, a uczennic twych najdawniejszych, jak gorąco kochamy cię i czcimy, jaką niewygasłą wdzięcznością przejęte jesteśmy dla ciebie. Tyś pracowała nad nami; tyś w dusze nasze siała święte ziarna miłości Boga, ludzi i kraju rodzinnego,—umiłowanie wszystkiego co piękne, szlachetne—umiłowanie obowiązku. Jeżeli więc w dalszem życiu pełniłyśmy powinności nasze, jeżeli potrafiłyśmy cośkolwiek dobrego zrobić, zasłużyć się choć trochę społeczeństwu, tobie to, pani, zawdzięczamy. Tyś nas tego uczyła, a zawsze i wszędzie wzorem nam byłaś. Pragnę jeszcze wypowiedzieć, jak wielkim jest żal nasz, że cię tracimy,—że, usuwając się z grona naszego, nie będziesz przewodniczyć nam nadal. Zabraknie cię pani wszystkim; zabraknie cię w szczególności nam, dzieciom twoim po duchu, pragnącym iść w ślady twoje, choć dorównać tobie żadna z nas nie zdoła. Z łzą w oku, z sercem żalem ściśniętem żegnamy cię, droga pani. Pamięć o tobie nie wygaśnie nigdy w sercach naszych; miłość nasza i wdzięczność wszędzie towarzyszyć ci będzie“.

Inna znów, również zawodowi nauczycielskiemu poświęcająca się, dawna uczennica p. Boberskiej, uwydatniła jej szlachetną ofiarność dla dobra młodych uczennic, jej gotowość poświęcenia z ujmą własną swego czasu i pracy ku ich pożytkowi. Piękny przykład tej ofiarności, tej cichej zasługi, tej pracy bez chępliwości, przytoczyła p. Sztrausówna. Przed trzema laty grono młodych dziewcząt, które przeważnie zawód nauczycielski sobie były obrały, postanowiły zaznajomić się gruntownie z historią i literaturą polską. Chęć pracy i nauki było wielką; ale brakło środków do wykonania zamiaru, nie było możliwości opłacania nauczycieli, brakło przewodnictwa, światłej wskazówki i rady. Na niczem więc spełzać miały zamiary łaknącego nauki młodego grona, pozostawionego samemu sobie. Gdy się o tem dowiedziała p. Boberska, niebawem sama ofiaruje im się za nauczycielkę, oddając dobrowolnie jedyny w tygodniu dzień wolny od pracy, zamiast go poświęcić wycieczkowi w gronie rodziny. Każdej niedzieli zgromadzała odtąd u siebie liczny zastęp słuchaczek, wykładając im naukę dziejów i literatury, uszlachetniając umysł wskazywaniem pięknych przykładów i zagrzewając młode uczennice do zamiłowania rzeczy wzniosłych, cnót wielkich i pełnienia obowiązków względem społeczeństwa, tak, iż w ustach jej nauka historyi stawała się prawdziwą *mistrznią życia*; a jedyną jej nagrodą za tyle pracy bezinteresownej, było uczucie, że praca to nie marna, że idzie na pożytek kraju, na pożytek przyszłości. Ze wszech stron otrzymawszy tyle serdecznych oznak wdzięczności i miłości, słysząc tak rzewne słowa pożegnania, z głębi serca płynące, rozrzwoniła, zaledwie była zdolną p. Boberska, głosem drżącym z uczucia, podziękować zgromadzonym krótkimi słowy, których treść pozostanie wszakże nazawsze w pamięci obecnych. Długo trwało pożegnanie; wszyscy tłumnie cisnęli się, aby uściskać i ucałować dłoni zacnej obywatelki; dawne uczennice żegnały ją ze łzami; rozrzwinienie udzieliło się wszystkim; panie płakały, a chwila rozstania dla każdego z obecnych—smutną była.

Przejdźmy do innego przedmiotu. Los to kronikarza, aby z drobnych okruszyn składał mozaikę chwili bieżącej. Przez całe lato, począwszy od Lipca, mieliśmy wystawę Sztuk Pięknych w gmachu politechniki, podobnie, jak co roku. Wiele przyczyn utrudnia powodzenie tych wystaw lwowskich, a jedną z głównych jest zbyt wielkie oddalenie od miasta, zniechęcające publiczność od liczniejszego zwiedzania wystawy. Urządzanie teje podczas feryi, w porze gdy znaczna liczba mieszkańców wyjeżdża z miasta, nie przyczynia się także do przysporzenia liczby widzów. Towarzystwo Sztuk Pięknych jest wszelako zniewolone względami oszczędności wybierać tę a nie inną porę, albowiem otrzymuje bezpłatnie na czas feryi szkolnych aulę politechniki; podczas gdy za salę, w której dawniej bywały wystawy, wpośród miasta położoną, zażądano obecnie tak przesadnie wysokiego czynszu, iż Towarzystwo, chcąc nie chcąc, nie miało innej przed sobą drogi, tylko przenieść wystawę na Nowy-Swiat, do oddalonego gmachu politechniki.

Kto jednak nie pożałuje, bądź to trudu pieszej przechadzki, bądź wydatku na dorózkę, ten zostanie zawsze wynagrodzony za przedsięwzięcie pielgrzymki artystycznej, albowiem bądź co bądź znajdą się corok na wystawie rzeczy godne uwagi, najwięcej zazwyczaj utworów młodszych malarzy, dających przybliżony przynajmniej pogląd na postęp pracy na polu artystycznym, a obok tego nieraz też znakomite dzieła starszych naszych mistrzów, uznaną już posiadających sławę. Na wystawie tegorocznej zwracał przedewszystkiem uwagę duży obraz ołtarzowy Styki, przedstawiający „Matkę Boską na tronie w obłokach, błogosławiącą rzeszę modlących się u podnóża tronu jej czcicieli, wszelkiego stanu, obojej płci pobożnych“. Wszystkie postacie, pełne wyrazu, odznaczają się w tym obrazie typową, wybitną charakterystyką i czynią bardzo sympatyczne wrażenie. Z kompozycji tej wieje duch prawdziwie religijny, przy wielkich zaletach wykonania. Przypomina ona tradycje owych czasów, gdy malarstwo religijne stało na wyżynach sztuki. Obraz ten, dobrze jest znany Warszawianom, albowiem otrzymał nagrodę: medal złoty, na konkursie w Warszawie.

Malarstwo rodzajowe zastąpiło dziś dawne religijne natchnienia; podobnie, jak ascetyzm średniowieczny ustąpił praktyce życia i powszednim tegoż troskom. Podniosły nastrój ducha utonął w drobiazgowych zajęciach codziennych, tłumaczących się w sztuce równie drobnym rodzajowym obrazkiem. Trubadur nowoczesny, śpiewający paniom i pannom w altanie ogrodowej piosnkę zalotną, strojnisia przed zwierciadłem, spiąca odaliska, żydek dobrze z natury oddany, lub, co najwięcej, jakaś większego rozmiaru scena jarmarczna, sanie śród zamieci zimowej wysiłkiem dziarskiej czwórki, czy trójki koni przez zaspę śniegowe ciągnięone, lub coś podobnego: oto są najulubiensze dzisiaj przedmioty młodej szkoły. Obraz historyczny pozostawiamy Matejce. Jakoż może i lepiej, że kto nie poczuwa się do wielkich zdolności i potężnych natchnień ducha, poprzestaje na mniejszem, na odpowiednim sobie polu, niżby miał, kusząc się o rzeczy wielkie, Ikarowego doznać losu. Obraz historyczny mieliśmy jeden tylko na tegorocznej wystawie, jeden na sto kilkanaście znajdujących się tu obrazów, mianowicie: *Gersona* „Powrót Kazimierza Mnicha“ i portrety króla Jana III i jego małżonki królowej Maryi Kazimiry. Zato obrazów rodzajowych, rozmaitej wielkości i wartości, znajdowało się podostatkiem, a pomiędzy nimi niektóre bardzo dobre. Do tych zaliczamy najpierw *Ajdukiewicza* wyborne staroświeckie typy, jak: „Stary sługa“, opowiadający jakieś ciekawe stare dzieje dwojgu pańskim dziecinom, słuchającym go z wielkiem zajęciem; „Wizyta u piwniczego“, wreszcie. Służba dworska, w pałacowym przedśionku zabawiająca się kartami“. *Merwart* najchętniej wybiera i maluje przedmioty ze społeczeństwa francuzkiego, które zna doskonale we wszystkich jego odcieniach. U niego koloryt, obliczony na wrażenie, gra zawsze pierwszą rolę i stanowi główny wdziek obrazów, przypominających francuzką szkołę impressjonistów. *Rybkowski*,

przeciwnie, szuka przedmiotów swojskich i usiłuje oddać je, ile możliwości, z prawdą realistyczną. Duży obraz jego tegoroczny, przedstawiający „Jarmark w Przemysłu“, jest widocznie kopiowany z natury z wielkim talentem. Wszystkie tu postacie swojskie i charakterystyczne, a układ grup pojedynczych przypomina niejedną scenę z małomiasteczkowego życia, widzianą przez nas na własne oczy. *Rybkowski* jest dobrym i ciągle czyniącym postępy malarzem typowym, co i w większych znać kompozycjach i w obrazkach pomniejszych. Jego żydek „handele“, kupejący starą odzież, rywalizuje z podobnym żydkiem *Kozakiewicza*, oglądającym towar świeżo nabyty, w zafrasowaniu, że zrobił „Zły interes.“ Obadwa są jakby żywcem sprowadzeni wprost z Kazimierza lub lwowskiej Zarwanicy. *Maszyńskiego* „Bitwa na palcaty“ pomiędzy ojcem a synem, ćwiczącym się w szermierce przed dworkiem wobec kółka rodzinnego i gości przypatrujących się z ganku z upodobaniem tym ćwiczeniom, należy do tego rodzaju kompozycji, które oglądamy z przyjemnością i które pozostają w pamięci widza miłym zapisane wrażeniem. Z obrazu tego przemawia życie, i to jest jego główną zaletą. Młody chłopak naciera na spokojnie odbijającego ciosy starego kontuszowca, z takim zacięciem, z taką dzielną chęcią widoczną całej postaci, iż porywa i na pierwszy rzut oka zyskuje sympatyi widza. Olejny obraz *Wojciecha Kossaka* „Artylerya w ogniu“ świadczy, że syn odziedziczył pod wielu względami talent ojcowski. Obraz to wybitny, odznacza się starannem wykonaniem. Na głównym planie umieścił artysta lawetę odprzodkowanego działu; — wokoło pękają granaty nieprzyjacielskie. Pierwszy koń w upręży, ugodzony czerepem granata, padł niezżywy i zatamował drogę. Wobec tego reszta koni zaprzęgu żyma się i miesza w popłochu, nieposłuszna woli jeźdźców. Pierwszy koń staje dęba, inne cofają się, przerażone. Grupa to przepyszna; rysunek koni wyborny. One-to są właściwie główną treścią obrazu; wszystko zresztą stanowi tylko jej uzupełnienie: i owi kanonierzy w dali ustawiający działu na pozycyi, i ów na przodzie obrazu leżący na ziemi ugodzony strzałem officer, po którego dąży z noszami służba czerwonego krzyża. Widnokrąg rozległy, omglony dymem pękających granatów, których ognie przebyskują przez sinawą powłokę dymów. Obraz ten pozwala przewidywać, że młody Kossak zajmie stanowisko nieposłudnie w dziejach naszego malarstwa i że, podobnie jak ojciec, będzie także specjalistą w malowaniu koni.

Zpomędzy pejzażystów lwowskich odznacza się *Grabieński* poprawnym rysunkiem i miłym dość wykonaniem, ilekroć mu się odpowiedni przedmiot nasunie. Jego cerkiewka w Rozdole sympatycznie pociąga ku sobie wzrok widza, podobnie jak i inne obrazy olejne. Szkoda, iż często obieira do przeniesienia na płótno widoki zbyt ubogie, jednostajne, z których najsympatyczniejszy pędzel niewiele wdzięku artystycznego zdoła wydobyć. *Jaroszyński* kocha się w widokach górskich znad brzegów Czeremosza i maluje z natury Huculów w ich malowniczej siedzibach. Materiału dla pejzażysty tam niezmiernie dużo; widoki wspaniałe, pełne urozmaicenia, cisną się pod pędzel; lud górski malowniczym równie jest, jak otaczająca go natura. Ale *Jaroszyński* nie posiada dosyć wyrobionej techniki, aby tę obfitość materiału należycie zużytkować. Jego rysunek, często chybiony, psuje wrażenie najpiękniejszych widoków. Chociaż przyznać potrzeba, że w najnowszych obrazach jego perspektywa znacznie poprawniejsza niż dawniej, co świadczy o dobrych chęciach i pracowitości malarza, będącej podstawą postępu, bez której nawet wielkie talenta marnieją. Pilne wpatrywanie się w naturę i nieustanne a sumienne jej badanie w rozmaitych kształtach i przeobrażeniach może z czasem zastąpić i wyrównać wiele niedostatków.

Maleckiego widok lasu, jest nieco fantastyczny w kolorycie, co jednak nie ujmuje harmonii krajobrazowi mieniącemu się złotawym barw polyskiem. *Swieszewski*, w którego krajobrazach przywykliśmy podziwiać piękne niebo włoskie, gorejące południowym żarem lub odzwierciedlone w przeje-

rzystej fali morza. prowadzi nas tymrazem w strony oczyste, ponad jezioro Gopło, osrebrzone w nocy blaskami wyzierającego z poza chmur księżycą. a jakby dla porównania przysłał równocześnie „Widok szwajcarskiego Jeziora Czterech Kantonów po deszczu“. *Kochanowski* maluje „Widok lasu“, zdjęty w połowie drzew, tak, iż widać tylko odziemki bez gałęzi i wierzchołków. Dobrze oddana roślinność leśna i perspektywa w głębi lasu, ludzako chwytają wzrok widza; pomimo tego nie można chwalić pomysłu przedstawiania nagiej połowy drzew, pozbawionych tego, co stanowi ich malowniczość i powab, mianowicie liści i rozłożystych konarów. Drzewa, jakby przecięte pod jedną linią w połowie ramą obrazu, tracą swój powab naturalny i zmniejszają wrażenie widoku.

Andrzej Grabowski jest znakomitym portrecistą; to zdawna wiadomo i Lwów może się poszczycić, że posiada artystę, którego portrety odnosiły nagrody i medale na pierwszych wystawach, nietylko w kraju, ale i za granicą. Technika malarska we wszystkich jego portretach wysoce wyrobiona, rysunek poprawny, a podobieństwo wiernie zachowane. *Grabowski* stara się przedewszystkiem oddać wyraz duszy i usposobień portretowanej osoby, zgodnie z zasadniczym, że tak powiem, tonem jej charakteru. Dwa portrety jego na tegorocznej wystawie noszą na sobie właśnie znamiona tych różnic typowych, świadczących o artystycznym poczuciu malarza, z jakim umie je dopatrzeć i przenieść na płótno. Jeden przedstawia mężczyznę w średnim wieku, o łagodnym obliczu, w którego rysach przebiega się zubożenie i znużenie życia. Drugi, będący jakby przeciwieństwem tamtego, przedstawia mieszczanina w kontuszu, na którego czerstwem, rumanem obliczu, osiadło samo zdrowie, z rubasznym, pocziwym uśmiechem. Każdy z tych portretów odróżnia się odmiennym pojęciem przedmiotu i techniką, ściśle do niego zastosowaną. Obadwa celują się niepospolitemi zaletami.

Szyndlera portret kobiecy, naturalnej wielkości, posiada wiele arystokratycznego wdzięku, elegancji pędzla, na której nazwanie w tej chwili inny, właściwszy nie nastęrcza mi się wyraz. *Merwarta* portretowi kobiecemu, popiersie, przyznać trzeba wdzięk harmonijny kolorytu, którym *Merwat* celuje. Innych portretów jeszcze było dosyć, ale nie dorównywały powyżej wymienionym.

Akwarelli było na tegorocznej wystawie więcej, niż zazwyczaj. *Juliusza Kossaka*, oprócz wybornego w swoim rodzaju „Polowania na lisa“ i drugiej większych rozmiarów kompozycji fantastycznej, przedstawiającej scenę z poematu *Bołoz Antoniewiczza*, znajdowały się dwa doskonałe obrazki, zdjęte z powieści *Sienkiewicza* „Ogniem i mieczem“. Na jednym przedstawił *Kossak* *Skrzetuskiego* z *Podbipiętą*; na drugim *Bohuna* z *Zagłobą*, śpieszących na czele kozackiego hufca do *Rozłogów*. Wszystkie cztery postacie doskonale uchwycone w myśl powieści—zwłaszcza niezrównany *Zagłoba*, w którym wady i cnoty starszylacheckie, w dziwnie oryginalnej a sympatycznej przedstawiają się mieszaninie, oddany tu jakby z natury żywcem zdjęty z jowialnem, nawpół zakłopotanem obliczem, patrzący z podejrzliwością a roztropnie, na wrywającego się przodem *Bohuna*. Niemniej wybornie pojęty jest ów, komiczny nieco w prostocie ducha, ale posiadający wszystkie cnoty rycerskie i zdolny do najwyższego bohaterstwa, melancholizny *Podbipięta*, zdobywający sobie całą naszą sympatya, w tak w powieści, jak w ilustracji *Kossaka*. *Talowski* maluje także akwarellą widoki *Krakowa* i przedmioty architektoniczne; *Sozański*, jeden z najmłodszych naszych artystów, mieszkał kilka lat we *Florencji* dla studyów malarskich i przywiózł ztamtąd zbiór typów szkicowanych z natury z talentem, przedstawiających zewnętrzną charakterystykę tamtejszej ludności.

Temi dniami mieliśmy inną jeszcze wystawę obrazów; składa się ona z dwunastu najnowszych, wielkiego rozmiaru, akwarelli *Juliusza Kossaka*, przedstawiających główniejsze chwile z dziejów rodziny *Fredrów*, która, począwszy od protoplasty swego *Dobiesława Mierzba* z czasów *Kazimierza Wielkiego*, odznaczyła się w różnych epokach

walecznymi czyni na polu bitw, niemniej jak na polu spraw publicznych, i sławą pisarską. Przedmiot ten zużytkował *Kossak*, opromieniuwszy go bogactwem twórczej fantazyi i geniuszu artystycznego. Równie pięknych kompozycy nie łatwo znaleźć nawet pomiędzy najpierwszego rzędu dziełami malarzy wielkiej sławy; a talent *Kossaka* występuje tutaj opromieniony całym swym blaskiem. Każda z tych scen, wywołanych z przeszłości czarodziejstwem natchnionego pędzla, nosi odmienne cechy odpowiednio epoce i przedstawionym zdarzeniom; wszystkie zaś zdumiewają rozmaitością pomysłów, przepyszny grupowaniem, doskonałością rysunku, pięknoscią kolorytu, a zwłaszcza tem życiem tchnącym z każdego obrazu; nie mówiąc już o znajomości każdoczesnego obyczaju, opartej na rozległych studyach historycznych i archeologicznych, widocznych w tej niezmiernej rozmaitości strojów, zbroi,—słowem: w najdrobniejszych szczegółach. Ta twórczość fantazyi, to bogactwo pomysłów, ta doskonałość rysunku i ugrupowania, przy jaknajwiększej rozmaitości szczegółów, z archeologicznym wystudyowanym znanstwem, uderzają na pierwszym zaraz obrazie, na którym występuje pojedynek *Dobiesława Mierzba* z niemieckim rycerzem, należącym do orszaku królewskiego, który go obraził. Pojedynek odbywa się wobec króla, siedzącego na tronie, otoczonego rycerstwem, dostojnikami dworu i liczną obojętą publiczności, ciekawie przypatrującą się walce. Powalony o ziemię *Niemiec*, widząc wymierzony ku sobie cios śmiertelny, podnosi błagalnie ręce, wołając do swego zwycięzcy: *Friede Hero!* Od tego-to wykrzyku nazwisko *Fredra* (*Friedhera*) nadał król *Mierzbie* i oddał bierze swój początek w dziejach ród *Fredrów*.

(Dokończenie nastąpi).

ZA OCEANEM

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

spisała

HELENA NEGRONI.

CZĘŚĆ DRUGA

(L A P L A T A).

II.

Walki polityczne.—Przeszłość Rzeczypospolitej.—Prezydent Avellaneda.—Namiętności wyborcze.—Walka w mieście.—Ogień armatni.—Poptoch.—Bitwa pod miastem.

Po sześciu latach prezydentury *Dr. Avellanedy* rządu owego „*Arribenio*“ (rodzaj nazwy pogardliwej znaczącej przybłądę z górnych prowincyi), okazały się mądrze i zadawalniającymi; ale pomimo to, przy wyborze nowego prezydenta, rozbudziły się dawne zawiści, wskutek czego powstały dwa stronnictwa: jedno reprezentowane przez ex-prezydenta *Mitre* i pierwszego ministra *Tejedosa*, mające za sobą stolicę, otaczającą ją prowincya i ochotników, drugie zaś reprezentowane przez rząd legalny, wojsko i marynarke, mające poparcie całego kraju. Stronnictwa te tworzą dwa zawzięte obozy, gotowe walczyć do upadłego. Jak się to skończy—nie wiadomo, to tylko pewna, że walka będzie zacięta.

W mieście niepokój panuje ogromny, wszędzie barykady, ruch zatamowany, miasto osaczone dokoła, tramwaje tylko po kilku jeszcze ulicach krążą; żadnego dowozu na targ, drożyzna wzrasta z każdym dniem, brak zupełny mięsa i nabiału. Wkoło naszego domu wojsko powstańcze pilnuje barykad. Strach przejmują na widok tych ludzi, których doskonale przez lunetę z platformy nad domem obserwować możemy. Jestto zbieranina zgłodniałych biedaków, bosych, bez mundurów, owiniętych w tradycyjne ponsze, uzbrojonych po największej części w długie kije, do których sznurami przywiązane są noże. Dla regularnego

wojska nie przedstawiają oni wielkiej siły oporu, ale dla tłumów całkiem bezbronnym są prawdziwym postrachem. Wprawdzie takimi farbami nie można malować wszystkich żywiołów, z jakich składają się siły powstańcze; do najemników bowiem przystępuje codzien, *pour faire cause commune*, cała złota młodzież i ludność robocza, zdolna do wydania z siebie całych legionów ochotników, dobrze uzbrojonych i zręcznych kawalerzystów, z którymi przeciwnicy poważnie już liczyć się i walczyć nie na żarty będą musieli.

Naród cały bardzo zajmuje się polityką; obojętnych wcale tu niema; każdy ma pewną swoją barwę, której nie zmienia, a jest wielu ze zdaniem tak stanowczym, że za nie poszliby w ogień. Kobiety, które są trochę exaltowane, mieszają się też do polityki, robią sobie z niej niemal ciągle zajęcie, w którym i ambicya gra wielką rolę.

Kobieta stoi tu wyżej od mężczyzn, tak pod względem charakteru, jak umysłu; lepiej od mężczyzny ucywilizowana, dalej posunięta w kulturze, umie ona odrazu pojmoać i rozwiązywać trudne kwestye, do których głębszego roztrząsania tęższe umysły mężczyzn, narazie nieusposobionych do rozważki, stojących ciągle w ogniu walk namiętnych, później dopiero dochodzą. Kobiety odgrywają też tutaj wielką rolę w polityce, a zachowawszy całą dumę krwi hiszpańskiej, chcą w stolicy zatrzymać ster rządu i w niczem nie ustąpić przewagi nad resztą kraju.

D. 1 Czerwca od rana panował w mieście popłoch ogromny. Szwagier mój, który już od świtu pracował w konsulacie, przybiegł około jedenastej, bardzo zaniepokojony pogłoską, która się rozszła, że chcą miasto od strony rzeki bombardować; będziemy więc w pierwszym ogniu. Kazał nam materacami okna pozatykać, zejść do suterren i tam znieść kosztowniejsze rzeczy; nie mógł długo z nami pozostać, bo konsulaty były w prawdziwym obleżeniu.—Prawo tutejsze zmusza wszystkich bez wyjątku urodzonych na gruncie Stanów *La Plata* do służby w wojsku, i teraz, potrzebując jaknajwięcej żołnierzy, bezwarunkowo zabierają wszystkich, którzy nie mają przy sobie dowodów legitymacyjnych na to, że należą do innej narodowości. Prawo to wchodzi w wykonanie tylko podczas wojny lub przy podobnych przejściach politycznych; ale, że nikt o tem z wczasu nie pomyślał, że zaniebano formalności żądania legitymacyi teraz więc naraz tysiące ludzi oblega biuro i czeka z niecierpliwością na owe tak zwane „papeletki“. Urzędnicy pracują w konsulatach po całych dniach i nocach bez chwili wytchnienia, ale nadażyć nie mogą, bo nie jest rzeczą łatwą wylegitymować kilkanaście tysięcy osób.

W konsulacie włoskim przyszło do takiego gwałtu, że okna i drzwi powybijano i bezpieczeństwo osobiste urzędników było zagrożone. Komendant fregaty wojennej francuzkiej, znajomy nasz z *Bahii*, przysłał nam ośmiu żołnierzy, których część pozostała w konsulacie a kilku pilnuje naszego domu. Wywieszona chorągiew i godło Rzeczypospolitej Francuzkiej mają nas zabezpieczyć od grabieży.

Okolo dwunastej rozległ się straszliwy huk. Skierowano dwa strzały armatnie na plac *San-Martino*, bardzo niedaleko od nas; dom nasz się zachwiał, na placu kilku ludzi zabito, bomba cały róg domu jednego wyrwała, a granaty wszczęły pożar. Powstaje okropny popłoch; tłum kobiet francuzkich z dziećmi chroni się do naszego domu. Wszystko to zgłodniałe, nic nie jadło bo zarobku nie ma żadnego; ruch, tak handlowy jak i przemysłowy, zupełnie ustał, a biedny robotnik, który z pracy ręk z dnia na dzień żyje, najwięcej na tem cierpi. Po pierwszych wystrzałach armatnich, kommandanci wszystkich statków wojennych, reprezentujących tu mocarstwa europejskie, porozumiewszy się ze sobą, wydelegowali kommandanta fregaty francuzkiej, generała *Henriota*, do prezydenta *Avellanedy* z uwiadomieniem, że jeżeli rząd nie da koloniom obcym tu zamieszkałym czasu czterdziestu ośmiu godzin do opuszczenia miasta przed rozpoczęciem bombardowania, to wszystkie fregaty, połączywszy się z sobą, zaczną wspólnie miasto bombardować, ale wtedy z pewnością kamień na kamieniu nie pozostanie.

stanie, a odpowiedzialność za ten czyn spadnie na prezydenta.

Ultimatum zrobiło swoje wrażenie, bo nie słyszeliśmy więcej huk armat; cisza grobowa zapanała, ochotnicy wszyscy wyszli za miasto; słysząc, że się biją niedaleko. Bitwa taka znacząca śmierć najpiękniejszej młodzieży, synów, mężów i braci najpierwszych rodzin tutejszych; niemal każda z nich jest w wyczekiwaniu, miejsca puste pozostałe przy ogniskach, niewiadomo czy będą kiedy znowu zajęte przez tesame istoty ukochane. Tymczasem głód coraz bardziej dokuje biednym klasom roboczym. Każda kolonia robi składki, za które szpitale wydają darmo obiady. Utworzył się komitet pań zbierających składki i rozdających pomiędzy prawdziwie potrzebujących kwity na żywność i ubranie. Przeszło dwieście rodzin dziennie dostaje darmo pożywienie w szpitalu francuzkim; przysparza nam też to niemało zajęcia, bo, naturalnie, zajmują się tem głównie żony i rodziny konsulów, a trudno sobie wyobrazić, ile ciężkiej nędzy wyradza kilka tylko dni podobnej stagnacji w interesach handlowych.

Po kilku mniejszych potyczkach przyszło nakoniec do stanowczej bitwy, w której powstańcy najzupełniej zwyciężeni zostali; zabrano im broń i konie, motłoch zaś rozpuszczono. Rozpacz okropna w stolicy, wszędzie łzy i żaloba; wielu drży o jutro, uważając za możliwą jeszcze walkę w samym mieście; inni, przeciwnie, mają tę dobrą otuchę, że spokój nie będzie zakłóconym.

I my mamy nadzieję, że się to sprawdzi, bo życie w podobnych okolicznościach byłoby już chyba niemożliwym.

W końcu Czerwca przypada rocznica wyswobodzenia kraju; obchód tej uroczystości wpłynie może na złagodzenie umysłów i przyjdzie do zgody. Kandydatem na przyszłego prezydenta jest generał Rocca, bardzo sympatyczny i energiczny człowiek, powszechnie szanowany.

III.

Starania o pokój. — Ludność Buenos-Ayres. — Osadnictwo; hodowla bydła i życie na stepach. — Bydło i konie stepowe. — Bracia Goës. — Zmarnienie osad pod rządem hiszpańskim. — Zakazy i nakazy handlowe. — Wybicie się na niepodległość; rozkwit i zamożność. — Koniec wojny domowej; generał Rocca prezydentem.

Spokój panuje chwilowo; wątpliwą jednak jest rzeczą, czy się utrzyma, będzie dopiero jakatą tego rękojmnia, gdy reprezentanci rządu legalnego wrócą do miasta. Obecnie wszystkie władze tak cywilne, administracyjne, jak i wojskowe, są na przedmieściu zwanem Belgranjo, gdzie gromadzą wojska z prowincyi, a gdy te się zbiórą, przyjdzie zapewne do ostatecznego starcia.

Cudzoziemcy, którzy stanowią przeważną część ludności, dokładają wszelkich możliwych starań, ażeby pogodzić walczących; handel i przemysł spoczywają głównie w ich ręku, stan też zupełny tej stagnacji w interesach jest dla nich ruiną.

Na trzykroćtysięcy mieszkańców miasta Buenos-Ayres zaledwie jedna szóstka jest krajowców, reszta, z małym bardzo wyjątkiem, wszystko Europejczycy. Największa jest Kolonia Włoska, licząca osmdziesiąt tysięcy mieszkańców; po niej idzie Hiszpańska (75,000) i Francuzka (50,000); na pozostałe narodowości przypada razem pięćdziesiąt tysięcy. Takasama jest siła

liczebna żywioln miejscowego: przedstawia więc tylko, jak wyżej powiedziano, jedną szóstą ogółu mieszkańców miasta.

Ludność w prowincjach, z wyjątkiem bardzo odległych okręgów, zamieszkałych przez Indyan, składa się też głównie z osadników europejskich; prócz tego niema prawie dnia jednego, ażeby, w drugiej zwłaszcza połowie roku, nie wylądowało kilkuset przybyszów, rozbitków i zbiegów, kilkuset nieszczęśliwych, próżniaków i wreszcie — łotrów z Europy.

Wszystko to po największej części przyjeżdża bez grosza w kieszeni. Przybysze są przekonani, że dosyć jest wysiąść na bruk tutejszy, ażeby zbierać złoto po ulicach. Złota nikt nie sieje, nikt nawet kopalni złota nie ma, ale niemniej złotodajnym jest grunt kraju i bogatą jego stolicą; potrzeba tylko chcieć i umieć pracować. Kto ma dwoje rąk zdolnych do pracy i zna jakiegokolwiek rzemiosło, ten, pozostając w mieście znajdzie od razu zajęcie sownie nagrodzone, życie łatwe i tak tanie, że będzie mógł bez trudności odłożyć w krótkim czasie stosunkowo znaczną sumę. Największą wogóle przynętą dla cudzoziemców jest kolonizacja, do której Rząd Argentyński, jeżeli nie dopomaga w takiej mierze, z jakiej się przechwała w Europie, to dosyć jednak skutecznie ją popiera, rozdając grunt, narzędzia rolnicze i bydło, a niema wątpliwości, że kilka lat, nie pracy nawet, ale, po prostu, pobytu na wsi, zajętego na pilnowanie i dogładanie własnego dobytku, zapewnia, nietylko dobrobyt, ale pewny, choć szczupły, majątek. Gospodarstwa rolniczego tu wcale nigdzie nie zakładają i wcale się nie troszczą o nie; daleko pewnością i mniej utrudzającą jest hodowla bydła, którą wszyscy bez wyjątku się zajmują. Bydło jest tak tanie, że za beżcen nabywać je można; pasie się ono na łąkach, których uprawiać nie potrzeba; żadnego więc nie daje kłopotu; spędza się je na noc do ogrodzenia i zrana na wolność wypuszcza; żadnego innego zresztą dozoru, żadnych innych zachodów rzecz ta nie wymaga. Hodowanie ma głównie na celu sprzedaż skór; raz do roku doprowadza się wysortowaną ilość bydła do miasta na sprzedaż, a pieniądz się odkłada, bo przychówku jest dosyć, ażeby mógł zastąpić to, co ubyło. Wkładając zarobiony kapitał w powiększenie gospodarstwa, w krótkim czasie przychodzi się do znacznego mienia.

Ludzie, którzy przyjeżdżają choć z małym kapitałem, zarabiają w ten sposób w ciągu pięciu do sześciu lat krocie. Jedynym dla nich niebezpieczeństwem jest susza, skutkiem której bydło pada nieraz milionami; ale rok podobnej suszy opóźnia tylko dojście do mienia, nie jest jeszcze bynajmniej ruiną, bo hodowca przeczorny ocali zawsze tyle bydła, że z niem będzie mógł dalej prowadzić hodowlę, a dwa lata pomyślne znowu zupełnie równowagę przywróci. Na taką suszę trzeba co kilka lat być przygotowanym; pomimo wszelkich niebezpieczeństw przedsiębiorstwa, rozpoczynając je, jest się prawie pewnym dojścia do majątku.

Jeżeli zarobek jest pewnym i pracuje się tu nie nadarmo, to nie można robić sobie złudzenia co do rodzaju życia, jakie się prowadzi, będąc na wsi. Jestto exystencja bardzo niemila pod wielu względami, pozbawiająca wszelkich wygod i przyjemności. Mieszkając tu na wsi, poprostu, wegetuje się tylko i znosi cierpliwie wszystko, ażeby tylko za kilka lat zrealizować dobytek i osiąść w mieście lub wrócić do Europy.

Noworozpoczynający osadnik wszystko musi dla siebie na obszarach pustych tutejszych stworzyć. Dom stawia zwykle z trzciny i kilku belek, z trudnością ogromną nieraz dostarczonych, bo

lasy są dość rzadkie się napotykają, a w niektórych stronach wcale nie rosną; domy też kleją się przy pomocy błota, zastępować mającego glinę, i po największej części są bez kominów. Nazwa „domów“ jest dla nich zbyt zaszczytną: są to jedynie lepianki zabezpieczające od deszczu. Za pokarm ma się tylko mięso pieczone w popiele wraz ze skórą, oraz jarzyny, jeżeli się jest dość cierpliwym, ażeby je zasadzić i dopilnować. Za napój służy coś, co się „herbatą paragwajską“ nazywa, a co lepiej „herbatą jezuicką“ nazwać można. Nazwa miejscowa *mate* pochodzi od naczynia, w którym się ten nektar zapija. Zresztą ani chleba, ani mąki, ani nabiału; krowa dojna jest wyrafinowanym komfortem, o którym nikt nigdy nie myśli, pomimo dostatku bydła rogatego.

Naturalnie, takim jest życie kolonistów przybywających tu bez żadnych zasobów pieniężnych, zupełnie bez grosza w kieszeni. Ludzie mający trochę środków i smaku życia na wyższym już szczeblu cywilizacji, mogą w krótkim bardzo czasie uczynić mieszkanie swe tak przyjemnym i dogodnym jak te, do których byli przyzwyczajeni w Europie.

Cena zwykła odchowanej pięknej sztuki bydła, jest pięćdziesiąt franków; koń też więcej nie kosztuje, a za młodego źrebaka płaci się pięćdziesiąt pezów czyli dziesięć franków. Koni też jest moc niezliczona; każdy gospodarz, który zajmuje się hodowlą bydła, ma ich najmniej dwadzieścia, a w większych gospodarstwach i w miastach przy fabrykach liczą je na setki.

Po wsiach jedynym sposobem komunikacji jest konna jazda; kolonista bydła dogłada konno; żona, dzieci małe i dorosłe córki — wszystko to uwija się na koniach, a w Niedzielę wszyscy konno jadą do kościoła, w koło którego amazonki w krótkich spódniczkach i wysokich butach. Mężczyźni, jakby przykuć do konia, cały dzień od świtu do zmroku na nim spędzają, od piątego roku życia już nim władając.

Koń sprowadzony tutaj jeszcze podczas pierwszej wyprawy Mendozy swobodnie był puszczonej na żyzne stepy, gdzie stada jego tak szybko się rozwijały, że gdy Garay przybył na czele nowej wyprawy, zastał już niesłychaną ich liczbę, którą zużytkował przy zakładaniu miasta.

W pięćdziesiąt lat po przybyciu pierwszych wypraw na brzegi rzeki La-Plata, przyprowadziło tamże dwóch Portugalczyków, bracia Goës, których nazwiska historia zachowała, z miasta S-tej Katarzyny, leżącego na wybrzeżu brazylijskim, ładem przez Paragwaj, ośm sztuk bydła z owych-to ośmiu sztuk powstały te miliony bydła znajdujące się do dziś dnia na płaszczynach Pampas i La-Plata. Człowiek który pilnował owego bydła podczas drogi — a trwała ona przeszło sześć miesięcy — otrzymał w nagrodę jedną z krów przez siebie przypędzonych. Step tak znakomicie sprzyjały rozwojowi bydła, że liczba jego wkrótce przewyższyła liczbę mieszkańców a w sto lat później można było kupić całe stado za wartość jednej krowy, podarowanej Goës'owi, której bajeczna cena przeszła w przysłowie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci tomu II-go powieści pod tyt.: **Dwie**.

TREŚĆ. Pogawędka. — Na moim grobie, (poezya). — Słowaczka, nowella, (dalszy ciąg), przez T. T. Jeża. — Joanna Carlyle, (dalszy ciąg). — Korrespondencja zagraniczna, (Lwów) — Za Oceanem, wspomnienia z podróży, (dalszy ciąg), przez Helenę Negroni.

Dodatek obejmuje: arkusz 3-ci tomu II-go powieści p. t.: **Dwie**, przez M. Georgianę Craik. — Przegląd mód. — Wory ubiorów i robót wraz z opisem. — Gospodarstwo wiejskie i miejskie. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.